№ 17.

Warszawa, dnia 17/29 Kwietnia 1865 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). Na Prowincji *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75). — W Cesarstwie i Królestwie, z dopłatą kopert pocztowych *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50); *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 kop. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą. — **Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki**, prosimy adresować. — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

PO DNIESTRZE

OD ANUTY DO CHOCIMIA.

(Dokończenie).

I dumałem znowu nad charakterystyką tego ludu, którego rdzeń sławiański uległ w tych okolicach tylu zmianom. Począwszy od Austryjackiéj granicy aż do Limanu, po obu brzegach Dniestru, mięszają się rusini z mołdawianami, ormianami, serbami, żydami, cyganami i tak nazwanymi w Besarabii lipowanami, czyli filiponami. Rusini są jednego pochodzenia z Galicyjskiemi, ale mianowicie w głębi kraju znać na nich wpływ mołdawian.

Dawniéj rusińskie plemie zamieszkiwało i środkową Besarabię jak tego ślady pozostały w nazwach miejscowości: lecz dziś żywioł mołdawski wziął tam górę i pochłonął w sobie inne pierwiastki. Co się tyczy języka, jest to osobna gałęź rusińskiego narzecza do którego weszły w skład niektóre mołdawskie i tureckie wyrazy; wymowa zaś przechowała się od najgłębszéj starożytności bez zmiany. Tak naprzykład: zaimek zwrotny, kładzie się przed słowem, co już nie używa się w Kijowskiéj gub. lubo stare pieśni dowodzą że forma ta i tam istniała. Rusin mówi *sia śmiejaty* (śmiać się) *sia chwality* (chwalić się) *sia turbowati* (smucić się). Mówi się także: *ja sia śmiejow* (naśmiałem się) *win sia pochwaliw* (pochwalił się) i t. d. Niektóre wyrazy wymawiają z przekładnią głosek; małoruskie *krinycia* (źródło) zowie się tu *kirnycia*, a słowo *gowori*ť *wogori*ť. *Ja tobi wagoriu pidy do kirnici* odzywa się tutejszy rusin. Jeszcze jedną gramatyczną zrobimy uwagę: szósty przypadek kończący się na *oiu* w niektórych tu wyrazach przyjmuje końcowkę *ou* np. *rukou*, *nogou* i t. d.

Dalszy ciąg mych lingwistycznych spostrzeżeń prowadziłem już nazajutrz, gdym się umieścił na twardym kukurydzowym siedzeniu, z tyłu piramidalnego woza, ciągnionego przez dwa besarabskie koniki. Na całéj drodze z Anuty do Perebykowiec,

miałem sposobność przysłuchania się nawoływaniom mojego woźnicy i przekleństw, któremi hojnie szafował wszystkim i wszystkiemu.

Przy poganianiu koni, czy wołów, stracił już woźnica swoje ruskie nawoływania a zastąpił je mołdawskiemi. Zamiast *héj! héj!* woła on *tiagosia! sob!* (na lewo) *gojsa!* (na prawo) a ciągle woła *czata! czata! czabała!* jakby z przycinkiem któremu towarzyszy machnięcie potężnego biczyska. Tymczasem wartkie koniki niosły nas śród pól porosłych bujnemi kłosami kukurydzy. Ziarno to na całéj Bukowinie uprawia się niemal wyłącznie i dobrze udaje w tutejszym klimacie; rozumie się, sposób uprawy sięga czasów przedpotopowych; i tak się utrwalił tradycją, iż wszelki krok postępu jest nader trudny. Włościanin tutejszy używa pługa, brony, wideł, grabi, kosy, radeł, nie różniących się od tych, jakie spotykamy w innych okolicach na Rusi; tylko tutejsze jarzmo na woły, zdaje się być jeszcze starożytniejszego pochodzenia. Po obrobieniu ziemi, kukurydza sieje się na wiosnę, a gdy nieco podrośnie, to ją *praszujut* t. j. podrywają, aby zostawić około każdéj rośliny dość miejsca do jéj swobodnego rozkrzewiania się; na jesień gdy dojrzeje, zbierają i zaraz na polu młócą, a ziarno zsypują w wielkie kosze, które ułożone w piramidy, sterczą koło chat tutejszych jak obronne baszty. Pola zostają bez dozoru, niszczone też są przez dwojakiego rodzaju nieprzyjacieli: psów i dzikie świnie. Pierwsze włóczą się w tutejszych wsiach wielkiemi gromadami, lubo w porze dojrzewania kukurydzy, starają się ich uwięzić na łańcuchach. Na dzikie świnie robią obławy, lecz zwykle bezskutecznie, gdyż zwierze to wybornym jest obdarzone węchem i słuchem. Przy dobrym zbiorze, włościanie sprzedają część kukurydzy, a ziarno to zawsze znajduje chętnych kupców, któremi są żydzi po największéj części.

Przebywają oni we wsiach pod najrozmaitszemi pretekstami; jeden ma maleńką własność, inny trzyma grunt w dzierżawie, lub też bierze w arendę dyżmę, młyn, ogród i t. d. a prócz tego każdy prowadzi handel mianowicie zaś kontrabandą. Tak nazwana *kamata* t. j. procent rośnie nie na dnie, ale na godziny. Najszkodliwszem jest dla włościan, gdy żydzi wezmą w arendę *dyżmę* to jest dziesięcinę, jaką włościanin płaci właścicielowi za najem gruntu. Ważną jest bardzo rzeczą czas jéj odbioru, a arendarze tak się urządzają, iż wymagają wtedy, kiedy ziarno kukurydzy najlepiéj płaci.

Żyd tutejszy zna na wylot wszystkie stosunki włościanina, wszystkie jego słabości i umie z nich wybornie korzystać; włada językiem miejscowym a prócz tego mówi po mołdawsku i po polsku, co ułatwia mu prowadzenie wszelkich interesów; wyznać jednak musiemy iż bez żydów, kraj ten nie miałby właściwie handlu, który przez nich wyłącznie i na dość znaczną skalę jest prowadzony.

Oprócz uprawy kukurydzy, zajmują się także włościanie hodowlą czarnośliwu, którym dosłownie przepełnione są sady wiejskie, po obu stronach Dniestru; dla tego też z tąd i z okolic Staréj Uszycy w Podolskiéj gub. wyprawiają prawdziwe karawany ze śliwami; suszenie ich odbywa się bardzo prostym sposobem, a każdy włościanin w ogrodzie posiada nie wielką wędzarnię. Pachną za to dymem, co stanowi ich wadę w handlu i gdyby ulepszyć sposób suszenia, żądanie czarnośliwu bardziejby wzrosło z niemałą korzyścią włościan. Nareszcie wspomniemy, iż w tutejszych sadach upowszechnioną jest bardzo uprawa *anisu* (anyżu) który chętnych nabywców znajduje w żydach.

Podróż odbywa się szybko, gdyż włościanin tutejszy zręczny jest w prowadzeniu koni. Nie używa prawie bicza, ale zachęca do biegu przekleństwami, które słysząc, włosy na głowie wstają. W ogóle, przekleństwa te przejęte zostały od mołdawian mistrzów w tym względzie, między ludami śmiało możemy powiedzieć całéj Europy. A nieszczęsny ten nałóg tak się upowszechnił u ludu prostego, iż nie tylko mężczyzni klną na czem świat stoi, ale i piękne usta niewiast bez zająknienia wyrzucają najordynarniejsze wyrazy i to o byle co, a czasami dla saméj przyjemności wymyślania. Na rachunek tego przywyknienia, zabawną mi opowiadano anegdotkę. Pewnego razu przejeżdżał tą okolicą jakiś wysoki dostojnik kościoła, a stanowy surowo przykazał powożącym, aby nie używali przekleństw. Wszystko szło dobrze aż do pewnéj góry, na któréj kareta uwięzła; żadne bicia niepomogły, konie nie chciały ruszyć z miejsca. Podróżny wyjrzał z niecierpliwiony, a w tedy jeden z rusinów pokornie go prosił o pozwolenie *sia łajaty* (wymyślania). Po otrzymaniu upoważnienia, zabrzmiały ze wszystkich ust nie opisane warjacje przekleństw a kareta szczęśliwie ruszyła daléj.

Porekijkowce, w których stanęliśmy o południu, urzędownie zowią się z mołdawska *Perebykaucy*, i tem godne uwagi, iż leżą prawie na wyspie, tak Dniestr wije się tu kręto, środkiem lasu, mocno już niestety podniszczonego. Pełno wąwozów, na wybrzeżu piętrzą się malownicze skały, każda chata jest prawie pejzażem, a w niéj mieszka lud zamożny, trudniący się sadownictwem i rybołóstwem. Jakkolwiek od Anuty odległość nie wielka, różnią się przecież Perekijowszczanie znacznie; stoją że tak powiemy jednym stopniem niżéj w obyczajeniu, dostając wiadomości z za Prutu z drugiéj ręki. Las jest im już znajomy i szczególnie ulubiony, między niemi są wyborni strzelcy, lecz kryją się ze swoją zdolno-

ścią, utrzymując iż noszą broń jedynie dla obrony od wilków, i dzikich świń, dość tu obfitych.

Uroczysty jest widok Dniestru letnią wieczorną dobą, gdy przezroczyste powietrze nasyci się balsamiczną wonią lasów Bukowiny. Lubiłem całe godziny spędzać na pobrzeżnych polankach, przypatrując się siołom i niwom sąsiedniéj Galicji. Daléj granica Prutu i cudowne okolice mołdawii, jakim równych nie znajdzie nigdzie. Nad wieczorem brzeg rzeki się ożywia. Po Dniestrze krążą łódki rybaków, a kobiety z sioła idą się kąpać i ująwszy grupami za ręce śpiewają przeciągłe pieśni, których odgłos odbija echo o skały ostre, sterczące po obu brzegach rzeki. Dniestr między wysokiemi górami czerni się jak wstęga, a fale cicho szemrzą, wtorując tajemniczemu szelestowi liści, poruszanych lekkim wietrzykiem na stoletnich dębach.

Niekiedy z Zadniestrza, lub z Perebijkowiec dochodzą długie głosy, albo z wód krzyk przeciągły rybaka. Nareszcie dzienna działalność cichnie i milczenie zalega okolicę.

Jednego z wieczorów, gdym spoczywał na polanie wśród uroczystéj ciszy, pojąc się czarownym widokiem, zbudził mię z marzenia, lekki szelest ostrożnie postępującego człowieka. Po chwili srebrny blask księżyca oświecił postać ruśniaka, którego głupowata fizyognomja uderzyła mię nie miło. Nagle na przeciwnym brzegu rzeki dał się słyszeć przeciągły krzyk sowy, i plusk świadczący iż jakieś ciało padło w wodę. Rzeczywiście po niejakim czasie, ujrzałem głowę wydobywającą się z wody.

— Czy jesteś tutaj? szeptał głos wychodzący z rzeki.

— Tutaj odpowiedział ruśniak z pobrzeża.

Nowo przybyły wyszedłszy na ląd, kilka razy się otrząchnął po mokréj i zimnéj kąpieli.

— Nałóż fajkę bo zimno djabelne!

— Dawno już gotowa! odparł tu ziemiec. A wódka?

— Oto butelka, otwórz szybko; dobrze i mnie łyknąć ziębłem niesłychanie!

I przy tych słowach obaj współtowarzysze, wyciągnęli się na miękkiéj murawie, a flaszka i fajka krążyła między niemi kolejno.

— Pomówmy teraz o naszych sprawach, zaczął galicjanin.

— A tak... tak... odparł ruśniak, a cóż tam moje woły?

— A cóż twoje woły w Mielniku a być może w Zaleszczykach, lub daléj jeszcze we Lwowie.

— Jakże więc i niema co myśleć o tem?

— Niema co! odparł przyjaciel przeciągając się.

— Zginąłem bez wołów! przepadło gospodarstwo! zajęczał ruśniak.

— Zapewne, przepadło! jak widzę tęgi z ciebie głupiec!

— Jakto?

— A tak!

— Żem się dał oszukać?

— Trudno się nie dać... aleś zapłacił Lejbie trzy karbowańce i cóż masz?

— A tobie dałem dwa!

— No tak choćby i dwa, wolałbym wziąść wszystkie pięć i nauczyłbym cię sztuki!

— Czy być może?

— A cóż?!

— Kiedy teraz nie mam pieniędzy.

— To przyrzecz!

— Niechaj!

— My starzy przyjaciele to ci powiem. Wiesz owdowiałem i chciałbym się ożenić z sąsiadką Nastą.

— A ta wysoka... czarnobrewa?

— No tak... kobieta jakich mało, ale nasunął się jéj przeklęty Matwiéj...

— Bogacz?

— Bogacz psi syn! i zmanił kobietę. Otóż mnie czort bierze na niego i zbiłbym na kwaśne jabłko, gdyby siła, on jednym zamachem zwali mię z nóg. Ale mimo to muszę mu się przysłużyć za Nastę!

— Jakto? moje woły?

— Cóż tam twoje woły u czorta, są już w Zaleszczykach albo we Lwowie. Nie o twoje więc woły chodzi, ale Matwiéj ma dwie pary tęgich siwych... żeby tobie jedna!?

— Ej!!

— Dla czegoż by tobie nie pomódz?

Ruśniak westchnął...

— Djabla rzecz, teraz widzisz takie księżycowe noce...

— Ba, będą i nieksiężycowe, kto wie może jutro się zachmurzy...

A ty myślisz?...

— Nic nie myślę... tylko załatwię trzy sprawy: zemszczę się, usłużę przyjacielowi i napiję się wódki, a fajki na kurzę.

— Ale jak złapią?

— Otóż widać żeś głupiec! a dasz pięć karbowańców?

— Dam!

— Przysięgnij!

— Jak Boga kocham... żebym z tego miejsca nie wstał! I wieśniak prowadził daléj litanję zaklęć najokropniejszych!

— I tytoń będzie? zapytał znowu towarzysz.

— Będzie!

— Dobrze! teraz bywaj zdrów i czekaj ciemnéj nocy im ciemniejsza tym lepsza. Usłyszysz krzyk sowy, zawsze trzy razy...

— Żeby tylko *lot* (obieszczyk) nie podpatrzył!

— Wsuniesz karbowańca i cicho; ale jak Matwiéj spostrzeże, to mi boki obije. Bywaj zdrów!

— Z Bogiem!

Oddawszy fajkę i wziąwszy swoją butelkę, galicjanin rzucił się w wodę i przeprawił przez Dniestr, tym samym sposobem co i poprzednio.

Kiedym wracał do domu, nie wiele zbudowany tą charakterystyczną rozmową ale dobrze malującą stosunki tutejszego ludu, noc była prześliczna. Przykro jednak odbijało zniszczenie lasu, oddanego na pastwę przemysłowéj grabieży. Tak zwolna nikną bogate puszcze bujnéj Bukowiny, a brzegi Dniestru prawie są już obnażone z bogatéj niegdyś korony leśnéj. Handel drzewem znaczne jednak przynosi korzyści. Na Bukowinie za sążeń płaci się dwa ruble srebrem, przybywszy zaś do Majak przy Limanie wart jest 18 rs. a w Odessie o 35 wiorst odległéj przeszło 30 Rs. Brak udogodnień przy spławie, czyni żeglugę na Dniestrze trudną i bardzo mozolną. Zdaje się iż za czasów, gdy germańczycy mieli kantory w Akermanie, Benderach, Soroku, Chocimie, spław na Dniestrze był łatwiejszym niż obecnie. Bieg téj rzeki kręty i niezmiernie bystry, przy obfitości ruchomych mielizn utrudnia żeglugę. Krętość brzegu jest nieraz tak wielka, iż w jednym punkcie, 40 wiorst rzeki nie wynosi w prostym kierunku i 5ciu. Tak Bendery i Tiraspol oddalone są od siebie w prostym kierunku o 12 wiorst, kiedy Dniestrem rachują 77. Krzywizny te jednak. dałyby się obejść kanałem jak również utrudniający żeglugę próg kamienisty między Serokoj i Litopolem. Głębokość górnéj rzeki niedostateczna, gdyby jednak usunięto mielizny, po Dniestrze już od Dubosar mogłyby chodzić większe statki, mianowicie o dnie płaskim. Dotychczas, najpospoliciéj pojawiają się tu galary, a nie dawno dopiero jednomasztowe statki, zwane płaskoszkutami. Robiono także próby ze statkami o dnie drewnianym, a bokach z gutaperchy. Wytrzymują one ciężar półtora raza większy od zwyczajnych, a przybywszy do Mojak rozbierają się: drzewo sprzedaje a burty przewożą nazad lądem. Kiedyśmy z Perebijkowic przejeżdżali do Rychocina, sąsiedniéj wsi o 10 wiorst odległéj spotykaliśmy niemal co krok gromady ludu, spieszące na nieodległy praźdnik. Wszystko to strojne świątecznie.

Ubiór tutejszych mężczyzn nie wiele się różni od rusińskiego. Latem włościanin chodzi w bieliznie, na któréj nosi bardzo szeroki pas skórzany nabity mnóstwem gwoździków i służący mu za schowanie różnych przedmiotów. Godnem uwagi iż na Bukowinie, nigdy nie zapina się rubaszka, okoliczność uważana przez ruśniaka jako przestępstwo, któremu nadają drwiącą nazwę *rozchrysta*. Sukmany są długie i spadają niżéj kolan. Latem używają do nakrycia głowy kapeluszy słomkowych, które młodzi parobcy wyplatają wzorzystemi barwami i nader sztucznie. Zowią się one *bryli* (czapki słomiane) i prócz wzorów, zdobią kwiatami, wstęgami i t. d. Najulubieńszym strojem młodzieży kurtka; w niepogodę nadziewają na nią *płaszcz* (mantę) który zatrzymuje krój małoruski, ale w miejsce kapiszon a z tyłu, ma czworokątny kawałek sukna, służący do ochrony głowy w czasie niepogody. Zimową porą używają kożuchów, czapek futrzanych i rękawic, pokrytych suknem.

Strój kobiecy bez względu na prostotę i krój, odznacza się pięknemi szczegółami. Składa go w lecie spódnica wełniana, obciągnięta w stanie. Biała rubaszka na plecach i łokciach u rękawów wyszywana włóczką wzorzystą i galonami nader ozdobnie. Na głowę między Chocimem a Anutami dziewczęta nadziewają czerwony fez, wyszywany złotem, z pod którego, wiją się pyszne kosy i wstęgi. Wierzchni ubiór stanowią kaftan bez rękawów i sukienne szuby szyte z rozmaitego rodzaju upiększeniami; po bokach wstawione są kawałki sukna różnokolorowego ułożone w gustowne wzory, od kołnierza zaś zwieszają się długie zawiązki, a niekiedy sznurki złota lub srebra. Na szyi sznury z monetami spadają na piersi w nieskończonych kręgach. Wychodząc z domu rusinki obwiązują twarz materją, a ten ze wschodu przyjęty zwyczaj, przyczynia się nie mało do przechowania piękności i delikatnéj płci tutejszych kobiet.

Lud jak powiedzieliśmy dążył na praźdnik, czyli święto miejscowe, które po nabożeństwie przechodzi na piciu a młodzież zbiera się w karczmie na tany. Tańce te jednak nie mają żadnéj oryginalności. Bogatsi parobcy idąc za przykładem mołdawian, utrzymują osobno konie aby jeździć za tańcami lub w konkury, i najbiedniejsi tylko nie mają konia, uważając się za prawdziwych pariów społecznych. Świąt tu mnóstwo i sposobności do próżnowania wesołego niebraknie. Liczne są szczególniéj święta miejscowych patronów. Wtedy każdy gospodarz we wsi, przygotowywa ucztę na którą schodzą się nie tylko sąsiedzi, ale i pielgrzymi z dalekich stron. Zwykle po obiedzie zgromadzają się goście i zabawa trwa do późnéj nocy, czasami tydzień lub dwa, gdyż koleją obchodzą wszystkich gospodarzy. Wsie na bukowinie są częste i braku zabawy nikt nie czuje. Najdziwniejszem to, iż na podobne zebrania dziewczęta udają się opatulone szubami; jeżeli upał nieznośnym dokucza skwarem, dziewczęta niosą swoje szuby na plecach, ale się z niemi nie rozstają, gdyż tak każe zwyczaj miejscowy.

Żyją starcy kórzy pamiętają czasy tureckie. W Rychocinie do któregośmy przybyli, nęciły nas właśnie starożytne okopy po-tureckie i przeszło stuletni starzec, żywa kronika wsi. Pierwsze pokryte bukowym lasem ciągną się za wsią rozłożoną w głębokim jarze po brzegach Dniestru, nie wiele nas nauczyły a i drugi także, ograniczony w szczegółach.

Gdy nam dziewczyna przyprowadziła dziada, wzruszyła nas jego starość. Miał przeszło sto lat a jak twierdził, ojciec jego 120, dziad 130. Ubrany był w koszulę... mało wiedział... mało słyszał i ledwo szedł. Gdym go usadził na słońcu, ta twarz pomarszczona, zgrzybiała, niebyła bez efektu. Opowiadał o turkach, chwalił ich za sprawiedliwość w wybieraniu podatków i karaniu złodziejstwa. Obdarzywszy starca jałmużną podążyliśmy w dalszą drogę na Raszkowę, chcąc stanąć jeszcze przed nocą w Chocimiu. Gdyśmy wyjeżdżali ze wsi, przemknęła koło nas jakaś konna postać, przed którą ruśniak z uszanowaniem zdjął swoją bryli. Na zapytanie ktoby to był, odpowiedziano iż *kalaraszy*.

Jest to rodzaj baszi-buzuków, właściwych tym tylko okolicom. Spełniają oni niby powinności lekkiéj milicji konnéj, na kształt kozaków, lecz tam gdzie się pojawią, są prawdziwą plagą mieszkańców, wymagając pożywienia dla siebie i konia i różnych datków. Z Rychocina do Raszkowy wiedzie wspaniała droga po wybrzeżu Dniestru, pełnym skał zawisłych nad nurtem rzeki. Na przeciwnéj stronie śród pól, widnieje historyczne miasteczko Lwinigród, a daléj za Raszkowem i Gordawą, pamiętny tyloma zwycięztwami Chocim.

Zsiadamy z bryczki i całujemy tę ziemię, krwią naszą przesiąkłą.

---

* * *

Z postępem ciepła, Warszawa coraz strojniejszą się staje, czystszą, przytem jakby umuskaną. Na placach zielenią się trawniki, drzewka i krzewy okrywają pączkami, trawki młodociane jak skrzydełka ze snu rozbudzonych motyli, perlą się kropelkami rosy, a majestatyczna Wisła poważnie toczy fale, przyglądając się z cichym szmerem gmachom stołecznym sterczącym na nadbrzeżnem wzgórzu. Ogrody: Saski i Krasiński porządkują się z niezwykłą starannością, bo nawet kamiennym figurom, zabrukanym, zapylonym, wyglądającym jak poczwary, odświeżono szaty, wieńce na głowach, sploty rozpuszczonych włosów, niektórym dodano palce, nosy, innym oczy, a wszystkim napisy.

Nie mając nic przeciw téj staranności, pragnąłbym jednak większéj opieki dla dzikich kłąbów ogrodu, które niegdyś gęste, cieniste, dziś prawie zupełnie znikły. Życzyłbym także mniéj szastań wozami a więcéj pamięci, że ogród jest dla przechadzki starszych a swobody i zabawy dzieci. Jak zamierzone w nich upiększenia przyjdą do skutku, ozdoby nie mało przybędzie, aby przechadzające się panie, raczyły przez wzgląd i na siebie i na nas biedaków, o sukniach cokolwiek pamiętać, bo jeżeli szastać niemi będą w pyle zwykle znajdującym się na ogrodowych chodnikach, to prześliczne to miejsce, w prędce przemienią w piekielnie duszącą jaskinię, a przechadzających w błąkające widma w pośród tumanów mączystego kurzu. Miejcież więc litość, prosiemy!

Powiadają, że nad Warszawą przelatywały już dzikie gęsi i do tego dosyć nisko, wróżąc powrót zimna z którem zaledwie niedawno rozstaliśmy się; przepowiednia to nie bardzo ponętna, ale gdyby tak zniżyły swój przelot, iżby zmiotły skrzydłami piasek zasypujący cały plac teatralny, powitałbym je z radością.

Za kilka dni rozpoczną się także upragnione przez Warszawian majówki, i dalszy ciąg publicznych odczytów naukowych, ogłaszanych później przez gazety. Nauka, rzecz to niezmiernie pożądana, ale wybór przedmiotów do podobnych wystąpień nie zdaje mi się być zupełnie właściwym. Żeby prelekcje takie odpowiadały swemu celowi, mniemam że powinny składać się z wykładów, wymagających objaśnień doświadczeniami lub okazami sztucznemi albo naturalnemi nie dającemi się niczem innem zastąpić. Rzecz bowiem ograniczająca się na samym tylko odczycie, lepiéj pojętą i zrozumianą zostanie później w odcinku gazety, jak wygłoszona z katedry przez profesora. Spodziewając się podobnéj publikacji, znam wiele osób co umyślnie wstrzymały się od pójścia na prelekcję, utrzymując bardzo słusznie że uniknąwszy ścisku i niewygody, później z większym pożytkiem odczytają ją jak wyjdzie z druku. I stało się tak jak przewidywali, a jeżeli znajdą naśladowników to pomału prelekcje spustoszeją i naturalnie na długo zwiniętemi zostaną, obrzucając Warszawian, gorzkim wyrzutem obojętności. A jednak zarzut to będzie niesprawiedliwy, bo przekonany jestem, że urządzone w sposób właściwy, odpowiedni swemu przeznaczeniu, to jest w taki, żeby odczyt z koniecznemi okazami dopiero stanowił całość wykładu, mogłyby się utrzymywać bardzo długo, a nawet zamienić w rodzaj wyższéj szkoły z wolno uczęszczającemi słuchaczami, przynoszącą dwoistą korzyść, bo nauką ogółowi, a dochodem celowi na jaki przeznaczone zostały. Gazeta Polska prześliczny przytoczyła wyjątek p. t. *Oszczędność i zbytek* z dzieła mało u nas znanego *Szkoła Polska gospodarstwa społecznego* napisanego przez Józefa Supińskiego.

Źródłem powiada autor, z którego płynie w towarzystwie zasób społeczny, są cnoty towarzyskie, do których należy także oszczędność. Gdyby mieszkańcy Europy, przez lat trzysta, spotrzebowali dochody swoje w całości, Europa stałaby dziś jeszcze na miejscu, na którem ją zostawiły owe czasy. Gdyby spotrzebowali więcéj nad dochody, Europa cała rozsypywałaby się w ruinę, oświata zmniejszyłaby się z każdem pokoleniem, i wszystko szłoby wstecz a nie naprzód, bo jak złe życie pojedynczego człowieka niszczący organizm jego, tak złe życie narodu, wycieńcza go i dobija. Lecz na szczęście mieszkańcy Europy spożywają mniéj jak mają dochodu, jeżeli więc nie wszystkie narody równie są pracowite i oględne, to wyprzedzające je, wciskają się tam gdzie powstają próżnie, oświatą, obyczajami, kapitałem i ludźmi. Z drobnych okruszyn powstają ogromne całości, ale nie sam dochód może być tylko przedmiotem oszczędności, do niéj liczy się także oszczędzanie czasu, kierunek właściwy pracy i przedsięwzięcia porządkiem prowadzone.

Zbytkiem bowiem i marnotrawstwem jest wszystko, co wyprzedza siły, wykształcenie i wymagania narodu. Zbytkiem jest, gdzie powstają ozdoby przed czystością, teatra przed szkołami, sztuki piękne przed naukami, kosztowne przechadzki przed szpitalem i domem przytułku, koleje żelazne przed dostateczną dróg ilością, słowem przyjemne rzeczy przed koniecznemi. Gdy kto powie, nauczał Franklin, że możecie inną drogą jak przez pracę i oszczędność dojść do oświaty i dobrego bytu, wypędźcie go z pośród was, bo on zatruje waszą przyszłość.

Lud ciemny i ciemniejsi od niego półmędrkowie, stają niekiedy w obronie zbytku i marnotrawstwa, utrzymując że hojne wydatki bogatych, puszczają w ruch pieniądze i dają zarobek ludziom żyjącym z zarobku. Dowodzenie to zupełnie bezzasadne. Pomińmy na chwilę pieniądze i przypuśćmy zamianę w naturze. Marnotrawca zakupujący sprzęty zbytkowe, powozy coraz innego kształtu, konie próżnujące, liberje, obiady, jeżeli jest właścicielem ziemskim, daje za nie zboże, drzewo, wełnę, okowitę i t. p. Niszcząc bez potrzeby nabyte za nie rzeczy, niszczy własne produkta i prace, która je przyspożyła. Wymiana przedmiotów nie zmienia skutku ogólnego, spożycie nastąpiło bez wpływu na dobro powszechności, bo owoce ich pracy zostały zniszczonemi. Ich praca mogła zasilić pracę dalszą, marnotrawca przerwał łączące je ogniwo. Ile zaś w kraju znikło nad potrzebę rzeczy użytecznych, o tyle kraj jest uboższym. Niszczenie bez korzyści płodów i wyrobów, jest niszczeniem społecznego zasobu, wycieńczaniem sił, cofaniem wstecz całego społeczeństwa, tak jak gromadzenie zasobu jest narastaniem jego potęgi i cywilizacji.

Dowodzenie że rozrzutność możnych, obudza przemysł i zachęca do pracy, wyśmiał Say, radząc by zakupowano wyroby zasługujące na tę szczególną opiekę, niemi ładowano okręty i te na środku oceanu topiono.

Wygody i przyjemności ludzkie postępować powinny z ogólnym postępem ludzkości. Wszakże zestawiając dwie ostateczności, skąpiec użyteczniejszym jest społeczeństwu od marnotrawcy. Gdy bowiem marnotrawca używa świata kosztem wszystkich, niszcząc pracę, siłę, czas innych bez pożytku, skąpiec gromadzi zasób kosztem własnym, który nie zginie i może się z czasem dostać w ręce przemyślne i pracowite. Pośród tych dwóch ostateczności stoi oszczędny, żyjący dla siebie i dla drugich, dla współczesnych i potomności. Ludzie oszczędni są dobroczyńcami ludzkości.

W ogólności, oszczędność prywatna i publiczna, upowszechnia życie moralne, zapobiegliwe, pracowite: ona posuwa naprzód narody na drodze do cywilizacji, potęgi i pomyślności. Że zaś pomyślność osób pojedynczych jest pomyślnością narodu, a cierpienia narodu, to cierpienie pojedynczych osób, gdzie zatem pojedynczy naruszają i niszczą swoje mienie, tam naród się zadłuża, wywłaszcza, gubi. Naród złożony z marnotrawców, obciążających hypotekę, wystawiających skrypta i weksle, osłabia naprzód swoje siły produkcyjne, ogołaca się ze środków pracy, zaspakaja potrzeby wyrobami obcemi, podpisuje na nie weksle ręką kupców, wystawia papiery publiczne, a te weksle i papiery są skryptem, są podpisem wywłaszczającym go z części jego zbiorowego mienia. Obcy, zaspakajający jego potrzeby muszą być zapłaceni, podupadła produkcja nie wysyła wyrobów za granicę, naprzód pieniądze wychodzą z kraju, za niemi idą papiery, unosząc wartość ziemi ojczystéj.

Wpadłszy raz na tę drogę, społeczeństwo leci w przepaść: pojedynczego marnotrawcę ocala czasami niespodziewana scheda; schedami ludów są pozostawione skutki pracy ich ojców, ich oświaty, wielkości, cnót i przywar. Społeczeństwo stanąwszy nad przepaścią, jeżeli ma niezachwiane postanowienie odwrócić się od niéj, powinno tak robić jak człowiek, którego młodość była zaniedbaną. Powinno więc zatopić się w pracy, odmówić sobie wielu przemijających przyjemności, kształcić umysł w kierunku prawdziwie użytecznym, wziąść się do fabryk, handlu i przemysłu i oszczędzać dla siebie i swoich potomków. Taka a nie inna pozostaje mu droga postępowania, bo materja jest warunkiem i pojawem istnienia na ziemi; na tym padole płaczu nic bez niéj obstać się nie może: istnienie bez materji nie należy już do świata tego.

Korrespondencja z Paryża.

Paryż dnia 20 Kwietnia 1865 r.

W ubraniach wiosennych jakie się w tym roku ukazały, spostrzegamy, że w miejsce jaskrawych kolorów używanych w roku zeszłym, przyjęto barwy łagodne, przyjemne dla oka, jak popielaty w różnych odcieniach, lilla niebieskawy zwany *Pervenche*, blado zielony *Vers Anglais*, i vert d'Isly, niebieski *Bleu Méxique*, a szczególniéj kolor Nankinu, najmodniejszy ze wszystkich. Ten nowy kierunek mody, zwrócił uwagę naszą, gdyśmy oglądali prześliczny zbiór próbek z towarów wyprawionych do Warszawy do magazynu pana Penkali.

Z pomiędzy materji jedwabnych, podobały nam się bardzo, szafirowe, stalowe, ciemno złote, i ciemno pożyczkowe, mienione z czarnym, w białe podłużne paseczki, w rozmaitych odstępach. Wiele także uważaliśmy materji, zupełnie gładkich, lub mienionych albo też w deseń *chinée* ciemniejszy na tle jaśniejszem, lub nakoniec w poprzeczne paski. Śliczny dobór fularów zasługuje na szczególną wzmiankę. Do najmodniejszych należą fulary w deseń kaszmirowy. Na ulicę jednak więcéj zalecamy fulary w drobny rzucik na tle popielatem, lilla *pervenche*, niewarowym i nankinowem. Deseń w ogólności bardzo drobny, składa się z kwadracików, kółek, półksiężyców i maleńkich listeczków, w kolorach czarnym, brązowym, fijołkowym lub solférino.

W bareżach tegorocznich wielka daje się widzieć rozmaitość. Najmodniejsze są z koziéj wełny, zwane *fil de chèvre*, zalecające się sztywnością i pięknym połyskiem. Popielaty bareż gęsty, zwany *granit* w delikatny marmurek czarny (*chinée*) wyborny do częstego użycia, szczególniéj na ulicę. Robią z niego zazwyczaj spódniczki z krótkiemi paletocikami, naszywane wstążką lub materją czarną, szafirową albo fijołkową. Wypiszemy tu szczegółowo piękny dobór tak bareżów jak innych wyrobów letnich wysłanych do składu pana Penkali.

Bareż *Fil de Chèvre* na białem tle w desenik lilla *chinée*. Takiż sam biały jakby posypany czarnym piaskiem, przez co wygląda niby jasno popielaty. Inny znów na tle nankinowym, w marmurek czarny. Bareżu tego dostać można we wszystkich popielatych odcieniach, zacząwszy od srebrnego i *gris de lin*, aż do stalowego. *Crêpe barège*, mięszany z jedwabiem, na białym tle, w marmurek brązowy, fijołkowy albo czarny.

Bareż *Linos* we wszystkich kolorach oraz biały, broszowany w jedwabne kropki różnych kolorów.

Bareż Linos w drobniuchne krateczki białe na tle, lilla, orzechowem, niebieskim, *bleu Méxique* i takiż sam na białem tle w kwiatki kolorowe.

Gęsty Bareż fil de chèvre, w poprzeczne białe prążki, na tle popielatem, szarem i jasno zielonem, na tem drobniuchny czarny marmurek. *Bareż szary chinèe* w ciemniejsze podłużne pasy w dosyć szerokich odstępach. Takiż sam *Gris de lin*, *w czarne pasy.*

Gładki bareż klarowny, koloru nankinowego. Bareż klarowny, na tle białem, w marmurek orzechowy czarny lub inny.

Bareż gęsty *fil de chèvre*, na tle popielatym *chinée* przerabiany jedwabiem w drobne pączki róży, solférino, niebieskie, zielone, lilla albo *szamoa.*

Batiste de laine, gęsty, na białem tle w marmurek czarny z orzechowym lub z lilla.

Fular wełniany gładki w dzikich kołorach. Takiż sam, w poprzeczne jedwabne prążki. Inny znów szary i popielaty, w czarny marmurek.

Na strojniejsze suknie: Bareż *crêpé* biały, w pasy jedwabne *chinée*, lub przerabiane w różnokolorowe kropeczki. Na niektórych między atłasowemi pasami, przechodzą wąziutkie paseczki pąsowe.

Inny znów bareż biały przerabiany z jedwabiem, w wązkie paski pąsowe i czarne dawane na przemiany.

Alpaga biała i szamoa gładka, w rozmaitych gatunkach.

Alpaga na białem tle w drobniuchne kropki czarne, mięszane z pąsowem lub pomarańczowem. Takaż sama na tle *chamois* w kropki czarne z fijołkowem, lub z solferino.

Z pomiędzy wyrobów bawełnianych, uważaliśmy, ładne organtyny, na białym tle w rzucane kwiaty polne, lub w liście w rozmaitych kolorach. Niektóre mają rzucik z ptaszków rajskich. Podobała nam się szczególniéj organtyna biała w rzut z liści fijołkowych, inna *vers Anglais*, w rzucane liście ciemnozielone, i *szamoa* w liście hawanna.

Do mniejszego ubrania, ładne są bardzo muślinki białe w drobne paski lilla, niebieskie, i zielone, inne znów na tle szamoa i *vers anglais*, w drobne paski czarne, albo w maleńki czarny rzucik.

Na spódniczki z paletocikami, zalecamy gładki półbatyst, w kolorach szamoa, lilla, niebieskim i *gris de lin*. Paletocik taki, wycięty w zęby, i naszyty sutaszem czarnym bardzo ładnie wygląda.

Uważaliśmy również piękną brylantynę na białem tle w drobny rzucik niebieski, solferino i lilla, najczęściéj mięszany z czarnym. Inna brylantyna miała drobniuchną krateczkę, fijołkową, lub ciemno niebieską. Najwięcéj ze wszystkich podobała nam się w kolorze nankinowym, w rzucik ciemno brązowy.

W perkalikach drukowanych wiele bardzo spostrzegamy nowości. Niektóre z nich tak są cienkie że zastępują zupełnie suknię żakonotową lub półbatystową. Śliczne te perkaliki zasługują na szczegółowy opis.

Na ranne szlafroczki, uważaliśmy perkal na czar-

nem tle w drobne różnokolorowe kwiateczki, zupełnie podobny do fularu.

Odznaczają się też nowością perkale glansowane, w paski brązowe albo zielone z białym.

Do najpiękniejszych należą cienkie perkale na tle białem w drobną potrójną kratkę, lilla, zieloną, niebieską i orzechową lub też odpasowane sztuczki z deseniem drukowanym, naśladujący plisy albo pasmanterją. Inne mają na białem tle delikatne kropeczki czarne, a na tem rzucik z pączków róży w rozmaitych kolorach. Inne znów w drobną kratkę, w paski lub w marmurek, mają rzucik z drobnych kwiateczków polnych. Zasługują na szczególną uwagę perkaliki na tle szarym, w rzucik z listeczków fijołkowych, lub solferino z czarnem.

Oprócz tego pan Penkala zakupił tu wielki zapas okrywek i paletocików, tak czarnych jedwabnych, jak lekkich korcikowych w rozmaitych kolorach, oraz gotowych ubrań z letnich wełnianych tkanin.

Zalecamy także piękny dobór spódniczek, pod suknie, które dziś stanowią ważną część ubrania. Często bardzo robią je z tego samego jak suknia materjału, a ubierają odpowiednio wstążką albo plisami jedwabnemi. W takim razie suknia podpina się na każdym brycie na klapki, i tworzy festony, spadające na takąż samą spódniczkę.

Na ranne suknie pan Penkala zakupił znaczną ilość szarego płótna, surowego batystu i perkalu. Szlafroczki takie lub spódniczki z kaftanikiem, naszywane sutaszem lub pletnią, należą w tym roku do najmodniejszych.

Zasługują także na uwagę, piękne suknie bareżowe haftowane, z zastosowaną chustką.

Opis ryciny.

N. 1. Czepeczek z tiulu jedwabnego w rzucik, obszyty blondynką z takiemiż samemi szarfami. Nad czołem pukle ze wstążki koloru *lapis*, od nich spadają dwa końce, poniżéj czepeczek przewiązany wstążką, związaną na kokardę. Niższa część czepeczka spadająca długo i przeznaczona na pokrycie koków.

N. 2. Stroik czarny koronkowy zwany *Marie Antoinette* czyli woalik z zębem na przodzie, pokrywający warkocz naszywany cały paciorkami z lawy, ubranie z róż i aksamitki czarnéj.

N. 3. Kołnierzyk podwójny płócienny wycinany w greckie zęby. Z pod tych zębów spada walansienka. Krawatka *lapis* związana na węzeł.

N. 4. Rękawek z mankietem płóciennym prostym, wycięty u ręki i z boku w zęby greckie podgarnirowane walansienką.

N. 5. Inny rękawek muszlinowy. Mankiet u niego złożony z ukośnych bufek, przeszywanych wstawką haftowaną, u ręki marszczona walansienka.

N. 6. Stanik z tiulu Brukselskiego wykrojony u szyi czworograniasto. Na wierzch idzie berta przymarszczana i przepinana ruszką ze wstążki różowéj w koło ogarnirowana koronką na trzy palce. Szarfa szeroka przewiązana z tyłu. Rękawki krótkie bufowane, wygarnirowane u dołu ruszką i koronką.

N. 7. Koszulka czyli bluzka złożona z pasków półbatystowych podwójnych i haftowanych muślinowych wstawek. Kołnierzyk ze wstążki, obszyty marszczoną walansienką. Z przodu listwa na dwa palce półbatystowa, obszyta z obu stron walansienką, spięta na pięć emaljowanych guzików. Rękawy złożone także z pasków i wstawek wszyty u ręki w mankiet ze wstawki, objętéj z obu stron walansienką. Epolety półbatystowe, obszyte wstawką i koronką odpowiednią.

N. 8. Garybaldka biała fularowa, spięta na guziki złote emaljowane czarno, wyszyta na przodach w zęby greckie, i wstawką z czarnéj gipiury. Kołnierzyk wyłożony naszyty z brzegu takąż wstawką. Na ramionach i w koło pachy dana również wstawka. Rękawy marszczone, u nich mankiet wolny, aby ręka przejść mogła wyszyty wstawką w greckie zęby. Pas fularowy, dany na sztywnéj klejonce naszyty dwa razy wstawką, spięty na złotą emaljowaną czarną klamrę.

DONIESIENIE.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka i wzory kapeluszów męzkich.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



3426

TYGODNIK MÓD

w Warszawie

Dodatek do Nru 17 Tygodnika Mód

Warszawa dnia 17 (29) Kwietnia 1865 roku.

JOANNA EYRE

POWIEŚĆ

PANNY BRONTE (CURRER BELL)

Z ANGIELSKIEGO.

(*Dalszy ciąg.*)

Słowa te jak najzwyczajniejszym wymówione głosem, niewymowną sprawiły mi przykrość. Zrobiło mi się zimno, jak po nagłem oblaniu wodą, nawet zadrżałam... ale podsunęłam się ku Rochesterowi.

— „Patrz na te skrzydła" mówił daléj nieodrywając oczu od ziemi,—co za świetne i prześliczne kolory.

— Przypomina mi on owady Indyi zachodnich. Nie często się spotyka w Anglii nocnych wędrowców tak bogato przystrojonych... Patrzaj! otóż się i wybiera w dalszą drogę...

Owad poleciał i wkrótce zniknął pomiędzy drzewami. Uważając że przykład jaki mi dał był godny naśladowania, zbliżyłam się do furtki, w celu wyjścia, ale Rochester idący ztyłu o kilka kroków, odezwał się.

— Dla czego uciekasz? czyż chcesz przesiedzieć pomiędzy czterema ścianami tak cudowny wieczór? Wątpię również abyś się pani tak wcześnie zabierała do spoczynku.

Zwykła przytomność umysłu nie nastręczyła mi jednak tą razą odpowiedzi. Jakże bowiem mogłam powiedzieć Rochesterowi że przechadzka z nim o tak późnéj godzinie, w miejscu odosobnionem, jest nie właściwa? Nie wiedziałam tedy jak się wytłomaczyć, jak uniewinnić, mieszając się coraz więcéj własném zakłopotaniem w obec jego spokojności i obejścia pełnego powagi. On zaś, mówił daléj, idąc obok mnie, ulicą laurową.

— Panno Joanno, wszakże Thornfield nie zdaje ci się w lecie, pomieszkaniem bardzo niemiłem?

— Bynajmniéj, panie... owszem znajduje go nader powabnym.

— Musiałaś się do tego miejsca przywiązać, bo masz wrodzone zamiłowanie do piękności przyrody, przytem jeźli się nie mylę, nawykasz łatwo do miejsc, w których przebywasz, i przywiązałaś się, sam nie wiem doprawdy dlaczego, do téj małéj psotnicy, a nawet i do poczciwéj pani Fairfax.

— Wsaméj rzeczy kocham je obie szczerze.

— Więc byś się zasmuciła gdyby ci przyszło z niemi się rozstawać?

— O! bardzo, — odrzekłam ze szczerem uczuciem.

— Co za szkoda....

Tu się zatrzymał i zdało mi się że westchnął.

— Ale z resztą, mówił daléj, zawsze tak bywa w biednem naszem życiu, ledwieśmy namiot rozpięli w miejscu dogodnem do wypoczynku, a oto już trzeba iść w dalszą drogę, bo godzina wczasu jeszcze nie nadeszła.

— Cóż mają znaczyć te słowa? czy i mnie należy wybierać się w dalszą podróż? Czy mam opuścić Thornfield?... zapytałam niespokojnie ale już z zupełnem nad sobą panowaniem.

— Lękam się bardzo, panno Joanno, aby do tego nie przyszło. Tak jest, lękam się téj ostateczności, a zdaje mi się ona przecie nieuchronną.

— Więc czekać będę na rozkaz wyjazdu... znajdzie mnie on gotową w każdéj chwili.

— I dobrze uczynisz, bo ten rozkaz, jak go nazywasz, będę musiał wydać nie późniéj jak dziś wieczór.

— Więc się pan żeni? przy tem zapytaniu serce zadrżało mi silnie choć z pozoru zdawałam się być spokojną.

— Nie inaczej,—zgadłaś zwykłą sobie przenikliwością... odrzekł Rochester bez najmniejszego zakłopotania, i to w nader krótkim czasie, kochana panno Eyre. Otóż, zapewne sobie przypominasz, kiedyśmy po raz pierwszy rozmawiali... Ale nie słuchasz mnie, panno Eyre, czy się znowu przyglądasz jakiemu pięknemu owadowi?... Kiedyśmy tedy po raz pierwszy rozmawiali o mojem bliskiem ożenieniu, sama mi uczyniłaś tę uwagę, że byłoby stosownem, abyście obie z Adelą ztąd odjechały jak panna Ingram zostanie moją żoną. Nie chcę dochodzić czyli tę radę natchnęło pani głębokie przekonanie o łagodności i dobroci mojéj narzeczonéj. Wolę raczéj uznać ją tylko za bardzo rozsądną i po prostu jéj usłuchać. Adela będzie zatem oddana na pensyę, tobie zaś panno Eyre wypadnie poszukać innego obowiązku.

— Bardzo dobrze, udam się zaraz do redakcji dziennika... Tymczasem zaś, sądzę...

Tu zamilkłam, nie pewna czy zdołam ukryć dłużéj moje wzruszenie.

— Ślub mój ma nastąpić za miesiąc, mówił da-

léj Rochester, przez ten czas pomyślemy o miejscu dla pani.

— Dziękuję, ale nie chciałabym...

— Co znowu! chyba żartujesz, panno Eyre. Spełniając tak przykładnie obowiązki twojego powołania, nabyłaś praw do mojéj wdzięczności. Chcę cię umieścić jak najkorzystniéj i mówiłem już z matką mojéj narzeczonéj o miejscu, które ci się może wyda dobrem. Miałabyś do wychowania pięć córek bogatéj właścicielki Irlandzkiéj. Sądzę że ci się podoba Irlandya...

— Czy to ztąd daleko?...

— Cóż cię to ma obchodzić? Jesteś za nadto rozsądna, abyś miała odrzucić miejsce korzystne dla tak mało ważnych względów.

— Tak, ale jednak... gdyby mnie morze dzieliło.

— Od czego Joanno?

— Od Anglii, od Thornfieldu, od...

— Od czegóż więcéj? dokończ!

— Od ciebie, panie... domówiłam mimowolnie nie mogąc powstrzymać bolesnego wzruszenia, jakie mi sprawiła cała ta rozmowa i czując łzy zalewające policzki.

Ale Rochester nie zdawał się na to uważać, i mówił daléj zimno, sucho, jakby umyślnie dla większego mnie rozdrażnienia.

— W istocie, można być pewnym że się będziemy rzadko widywali, a może już nigdy w życiu nie zejdziemy się z sobą. Do podróży bowiem do Irlandyi, nie mam najmniejszego pociągu.

— Słuchaj Joanno, mówił znowu, po chwili milczenia, wszakże byliśmy zawsze przyjaźni sobie, czy prawda?

— Nie inaczéj, panie.

— Uczyńmy tedy jak dwa przyjaciele, mający się wkrótce rozłączyć. Siądź przy mnie na téj ławce, pod tym oto kasztanem. Będziemy rozmawiali o twojéj blizkiéj podróży.

Mówiąc to, zaprowadził mnie ku ławce i usiadł, tuż przy mnie.

— Joanno, mówił daléj, żal mi wysyłać cię tak daleko.. Są chwile, doprawdy, w których zdaje mi się że jesteśmy jakby sobie pokrewni, niby bliźnięta zespoleni węzłem nierozerwanym. Jeżeli rzucim pomiędzy siebie otchłań morską, któréj bałwany tak potężne i prądy tak bystre, lękam się aby nić co nas wiąże nie zerwała się i aby nasze serca krwią nie zapłynęły... Ale cóż ja mówię?... Ty Joanno,—ty zapomnisz o mnie.

— Ja, panie? nigdy! wiesz dobrze o tem...

— Joanno, przerwał, czy słyszysz—tam w dali, pośród gajów, uroczy śpiew słowika?... Czy słyszysz?

Zamilkł, ale ciszę, która nastąpiła po tych słowach, przerwał z nagła głośny płacz wybuchający rwistym potokiem z mojego zbolałego serca. Razem ze łzami płynęły z niego jęki i wyrzekania. Wszelka moc duszy mię odstąpiła; złorzeczyłam chwilę mojego urodzenia i dzień, w którym przybyłam do Thornfield.

— Więc ci tak bardzo żal go porzucić, zapytał Rochester, z wyrazem zdziwienia.

Nie panowałam już wtedy nad uczuciem silniejszem od wszelkich rad rozumu.

— O, tak! zawołałam, żal mi Thornfieldu... kocham to miejsce, bo w niem żyłam całą pełnią życia, w niem poznałam szczęście, choć przez dni nie wiele. Byt mój nie był tu bytem martwego kamienia, który każdy depcze lub potrąca obojętnie, nie byłam tu pozbawiona wszelkiéj styczności z tem co dusza ludzka mieści w sobie świetnego, wzniosłego i szlachetnego. Patrzałam na to co najwyżéj cenię na ziemi, co kocham najgoręcéj. Czemużbym miała milczeć przed tobą, panie? Poznawszy ciebie uczułam trwogę... ból zaś niewypowiedziany, kiedy mi trzeba rozłączać się z tobą na zawsze. Widzę jasno konieczność tego wyjazdu... ale w taki sposób jakbym widziała przed sobą śmierć nieuchronną... i nie umiem się z tą myślą oswoić.

— Gdzież widzisz tę konieczność? zapytał mię z nagła.

— Wszakże ją sam oczom moim przedstawiłeś, w postaci panny Ingram, twojéj pięknéj narzeczonéj.

— Mojéj? nie wiem co chcesz powiedzieć. Ja nie mam narzeczonéj.

— Jakto? wszakże chcesz się żenić?

— Chcę?... a! to prawda... Chcę! chcę!...

Mówił to zaciskając zęby i z wyrazem obłąkania.

— Uznajesz pan tedy że trzeba abym wyjechała... wszakże sam tak zawyrokowałeś?

— Nie! zostaniesz... zostaniesz, przysięgam na to... a potrafię dotrzymać przysięgi!

— Ha! kiedy tak, więc na mnie kolej powiedzieć. Chcę i muszę wyjechać! Czyż pan sądzisz że potrafię tu pozostać, nie mając już żadnego miejsca w twojem sercu? Jakkolwiek jestem sierota uboga i pozbawiona urody, mam przecie duszę zdolną czuć cierpienie. Serce moje stoi na równi z twojem, o wierzaj temu,—a gdybym miała tylko cokolwiek piękności i majątek stawiający mnie na jednem z tobą stanowisku, umiałabym, panie Rochester, uczynić ci rozstanie ze mną niemniéj bolesnem, jak jest dla mnie. Wiem dobrze o tem że w téj chwili pomijam wszystko co świa

zowie przyzwoitością... Mniejsza z tem. To dusza moja przemawia do twojéj, tak jakby mówiła kiedyś po za grobem u stóp Stwórcy, równa twojéj jak nią już dziś jest bez wątpienia.

— Tak, prawdę mówisz... jesteśmy równi, powtórzył Rochester, a głos jego drżał teraz bardziéj od mojego, tu przy sercu mojem twoje miejsce.

— O nie! zawołałam, nie jesteśmy równi, bo gotów jesteś uczynić z wyrachowania to, na co by mnie nikt nie zdołał namówić. Poślubisz kobietę, którą czujesz niższą od siebie, kobietę, któréj kochać nie możesz, bo nie masz dla niéj szacunku. Co do mnie, za wszystkie skarby świata, nie uczyniłabym nic podobnego. Nie jestem że więcéj warta od ciebie? Muszę odjechać, odjeżdżam natychmiast...

— Do Irlandyi?

— Do Irlandyi, lub gdzie bądź, wszystko mi to jedno, bylebym odjechała.

— Joanno, uspokój się. Przestań się wydzierać, jak ptak, który w bezrozumnéj rozpaczy, sam siebie kaleczy o pręty swojéj klatki.

— Nie jestem ptakiem, i nie dam złapać się w sidła. Jestem istota nie zależna, pani mojéj woli, a wolą moją jest rozłączyć się z tobą.

Zdołałam nareszcie oswobodzić ręce, które pochwycił, stanęłam przed nim, na pozór spokojna i nieustraszona.

— Niechże i tak będzie, odparł, niechaj twoja tylko wola rozrządza wszystkiem. I wpatrując się we mnie z uczuciem, rzekł nagle: Słuchaj, Joanno, ja ci ofiaruję moją rękę, moje serce i wszystko co posiadam na świecie.

Pozostałam przez chwilę jakby rażona piorunem, zdziwienie moje przechodziło wszystko, co słowa potrafią wyrazić. Opamiętawszy się wreszcie nieco, rzekłam:

— Powinnabym może wziąść za żart podobne słowa, a jednak...

— A jednak, przerwał, nie ma nic w świecie bardziéj prawdziwego. Nie oddawaj się jak dotąd, próżnym uniesieniom. Pozostań przez chwilę milcząca, abyś się mogła uspokoić i namyśleć. Oto ci sam daję przykład.

Zamilkł w rzeczy saméj, spoglądając na mnie z czułością. W tem, lekki powiew wiatru przerwał ciszę, która nas otaczała, i zaszemrawszy pośród gęsto splecionych gałęzi ocieniającego nas kasztana, przebiegł laurową ulicą i przepadł gdzieś w dali. Niebawem, ozwał się śpiew słowika, rozlegający się po sąsiednich gajach. Słuchałam go, i łzy mi poplynęły, a Rochester patrzał na nie z poważnem rozrzewnieniem.

— Siądź koło mnie, panno Joanno, rzekł wreszcie. Czas już aby to nieporozumienie miało koniec. Chodźże czegóż się lękasz?

O Boże! jeszcze drżałam, nie pewna czyli ten człowiek nie szydził z mojéj łatwowierności...

— Pańska oblubienica nas dzieli, rzekłam, cofając się nieco.

Wstał porywczo i ujmując moją rękę, którą z uczuciem do piersi przycisnął, zawołał.

— Oto jest moja oblubienica! Oto ta, którą wybrałem jako podobną sobie. Joanno, czy chcesz być moją żoną?

Głos zamarł mi w piersi, słyszałam a nie wierzyłam własnym uszom... serce biło mi gwałtownie... Ale rozwaga wróciła.

— Widzę ze mi jeszcze nie dowierzasz? Czegóż trzeba aby cię przekonać? Czyliż nie dostrzegłaś sama, że nie kocham panny Ingram? Co zaś do jéj przywiązania do mnie, wystawiłem je na próbę, przebąknąwszy o znacznych stratach majątkowych, które mnie niby dotknęły. Ma się rozumieć że mogłem potem prosić o rękę pięknéj Bianki, z zupełną pewnością odmowy. Odprawiono mnie też rzeczywiście... Nie! nigdy nie miałem szczeréj chęci żenić się z panną Ingram. Ciebie błagam abyś mnie za męża przyjęła, ciebie, która nie masz ani majątku, ani rodziny, i którą tylu ludzi znajduje niemal brzydką.

— Więc to nie sen? więc to prawda, zapytałam, szczerością słów jego przekonana nareszcie, mnie? która nie mam na świecie nikogo oprócz ciebie, mnie, co nie posiadam jednego szellinga coby od ciebie nie pochodził, mnie, tybyś wybrał za żonę? Panie obróć się ku światłu księżyca, chcę wyczytać myśl twą z twojéj twarzy.

— Zgoda i na to, ale będziesz bardzo przenikliwą jeżeli potrafisz cokolwiek wyczytać z téj karty zeschłéj i zużytéj. Czytajże, ale spiesz się, bo cierpię ogromnie.

W rzeczy saméj, żyły skroni krwią mu nabiegały, i silne wzruszenie przebijało na jego twarzy, i w oczach promieniejących.

— Joanno! zawołał po chwili, przestań że mię dręczyć tak srodze. Twoje oczy, wierne zwierciadła duszy, mają wyraz, który mi serce rozdziera.

— Wyrażają one głęboką wdzięczność—odrzekłam a Rochester zaraz mi przerwał:

— Joanno! nie dręcz mnie... powiedz że przystajesz...

Milczałam... tysiąc myśli niby migotliwe błyskawice, rozpierały mi głowę... zdawało mi się że marzę lękając się srogiego przebudzenia. Wreszcie nie umiejąc pokonać wzruszenia, złożyłam ręce

pobożnie i oczy wzniosłam ku niebu. Rochester zbliżył się ku mnie i zapytał nieśmiało, z pewną niezwykłą czułością.

— Joanno! błagam cię... powiedz szczerze, jak zacna, szlachetna niewiasta, nie umiejąca kłamać uczucia, którego nie ma w sercu...

Joanno kochasz mnie?...

Mimowoli spojrzałam na Rochestera... oczy nasze spotkały się z sobą i spuszczając je w téj chwili, szepnęłam nieśmiało.

— „Tak panie”...

— „Dzięki ci mój pocieszycielu” zawołał Rochester z uniesieniem, całując mi obie ręce,—daj mi szczęście, daj mi swą przyjaźń, miłość i poświęcenie, a oddam ci całe moje życie. Bóg przebaczy... osądzi... i przy tych słowach zatrzymując się, spochmurniał nagle, ścisnął ręce w pięście i domówił groźnie:—ktoby mi chciał wydrzeć cię... niech się strzeże, zetrę go w proch, boś już moja... moja na wieki, mój skarb, moje błogosławieństwo...

Te niezrozumiałe słowa, wymówione z siłą niezłomnego postanowienia, przejęły mnie mimowolnym dreszczem. Tajemnica jakaś przebijała w nich widocznie... ale przelotne podejrzenie rozprysło się wkrótce w błogiem poczuciu serdecznéj radości.

XIII.

Tymczasem noc zapadła i ciemność tak się nagle powiększała że zaledwie mogłam rozpoznać rysy Rochestera. Jednocześnie zaryczał wicher, stary kasztan zadrżał i liście drzew laurowych zaszeleściły.

— Trzeba nam wracać do domu, rzekł Rochester, zanosi się na burzę. Czemuż nie mogę tu pozostać z tobą aż do świtu. Joanno moja!...

W tem strumień jaskrawego światła wytrysnął z pośród ciemnych chmur, w które się moje oczy wpatrywały. Przerażona i olśniona oparłam mimowolnie czoło na ramieniu Rochestera, który mnie śpiesznie poprowadził ulicą. Niebawem spadł deszcz ulewny i zanim doszliśmy do domu, zostaliśmy przemoknięci do nitki. Rochester zdjął ze mnie szal począł wyciskać z lekka wodę spływającą z niego obficie. W téj chwili, pani Fairfax wyszła z lampką ze swego pokoju, ale nie spostrzegliśmy jéj zaraz, bośmy byli odwróceni w drugą stronę. Zegar wybijał właśnie dwunastą godzinę.

— Zrzuć zaraz z siebie to zmoczone odzienie, rzekł do mnie Rochester, a zanim odejdziesz, dobranoc ci jeszcze, dobranoc, moja jedyna pociecho.

To mówiąc, przytulił ręce moje, po kilka razy do ust i do piersi, a gdy po odejściu jego podniosłam oczy, zobaczyłam poczciwą staruszkę stojącą przedemną w osłupieniu, z twarzą bladą i surową.

Uciekłam co prędzéj do siebie, nie czując się usposobioną do tłumaczeń i uniewinniania, zostawszy jednak samą, uczułam pewien rodzaj niespoju, pomyślawszy że ta zacna kobieta będzie mieć o mnie fałszywe pojęcie, choćby tylko przez kilka godzin.

Wkrótce jednak, radość przemogła wszelkie inne wrażenia. Na próżno przez noc całą wył ponury wicher, na próżno się krzyżowały po niebie pioruny i błyskawice, nie czułam wcale trwogi, ale przeciwnie rodzaj zachwycenia w obec téj walki żywiołów, przedstawiającéj się tak świetnie moim oczom.

Nazajutrz dzień był cudnie pogodny, nie pamiętam piękniejszego letniego poranku. Przy śniadaniu, pani Fairfax była dla mnie nieco oziębła, ale obecność Adeli nie pozwalała wdawać się w żadne tłómaczenia i musiałam je odłożyć do sposobniejszéj pory. Niebawem poszłam z moją uczennicą na górę, zastałam już tam Rochestera a gdy Adela pobiegła gonić barwnego motyla, począł zaraz mówić o naszym bliskim ślubie. Miał on nastąpić zaraz po upływie czterech tygodni przepisanych prawem. Powiedział że już napisał do Londynu, i że pierwszą pocztą spodziewa się odebrać familijne klejnoty złożone u bankiera. Chciał je wprzódy obejrzeć aby się przekonać czy się okażą dosyć piękne, pragnął bowiem aby moje ślubne podarunki były godne córki lorda, wnoszącéj książęcy posag.

Na próżno usiłowałam przedstawić że zbyt wykwintne stroje nie przystawały ani do mojego ubogiego pochodzenia, ani do mojéj powierzchowności. Uparł się powiadając że widzi we mnie królewnę, nawet i z urody, jakiéj wiedziałam że nie posiadam.

Zmieniając potem rozmowę, wspomniał o podróży, którą mieliśmy razem odbyć zaraz po ślubie. Znał już oddawna Paryż, Rzym, Neapo i Wenecyę, ale chciał tam być jeszcze raz ze mną. Jakież większe szczęście mogło mi się w przyszłości przedstawić? Rozmowa nasza przybierała coraz więcéj swobody i wesołości. Uszczęśliwiony Rochester stawał się dla mnie młodym i pustym, a jednak pełnym uszanowania, jakie musi podobać się i ujmować.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).
